

KAZIMIERZ STOPA ur. 1923; Rozięcín



Tytuł fragmentu relacji	Dzieciństwo i dom rodzinny
Zakres terytorialny i czasowy	Wojśławice; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Wojśławice, Rozięcín, dzieciństwo na wsi, dom rodzinny, bróg, wieś, życie na wsi

Dzieciństwo i dom rodzinny

W skromnej, chłopskiej chacie - w chacie moich rodziców - była dość zasobna biblioteka książek, które były przemycane z Galicji, czasopism różnego typu. Jak na warunki ówczesnej wsi w okresie przełomu wieków i w czasach rewolucji 1905 roku, moi rodzice oboje umieli czytać i pisać, co było wręcz unikatem. W rodzinie Sitarza Marcina na Hucie pielęgnowano tradycje narodowe, patriotyczne i religijne, uczono się po kryjomu czytania i pisania. Stanisław Strupa – człowiek, który w przebraniu żebraka przemycał książki - uczył czytać i pisać po polsku i po rosyjsku mojego ojca - Franciszka. Często w mojej rodzinnej chacie w czasie tak zwanych „prządek” czy „wieczorynek”, gdy kobiety przędły len, konopie, wełnę lub łuskały fasolę, ojciec siadał przy stole i czytał książki, czytał gazety, a zbierali się też starzy mieszkańcy wsi i prowadzili rozmowy o minionych czasach i minionych zdarzeniach. Dzieciństwo moje upłynęło w warunkach wzajemnej miłości, uczciwości, w skromnej chacie pod strzechą. Mieszkaliśmy w najpiękniejszym miejscu rodzinnej wioski, na takim wzgórku pod lasem. Chata była odległa o 150 metrów od byłej granicy państwowej po pierwszym rozbiórce Polski i ta droga do dziś nazywa się granicą. Ludzie nie wiedzieli dlaczego. Na tym słonecznym wzgórku, który nazywano Stopów Wzgórek, stała nasza skromna chata, zabudowana w czworoboku - patrząc w kierunku wschodnim, to po lewej stronie wiejskiej ulicy, gdyż wieś jest położona w kierunku z zachodu na wschód. Czworobok zabudowań zamykały stajnie, stodoła, obora, a od strony wschodniej – bróg – urządzenie z ruchomym dachem, gdzie można było chować nadwyżki zboża, siana czy koniczyny.

Chata była jednoizbowa, obszerna, ale jednoizbowa. Z normalnym wyposażeniem w piec chlebowy, kuchnię, zapiecek dość obszerny, gdzie można się było przespać, komorę, która stanowiła dla mnie zawsze część obiektu domowego niezwykle ciekawą, bo prócz tego, że zawierała w sobie magazyn różnego rodzaju sprzętu, to jeszcze na ścianie od strony zachodniej, w takim urządzeniu jak nałyszki, była cała kolekcja białej broni zebrana przez ojca na pobojuwiskach pierwszej wojny światowej, co mnie nęciło niesamowicie, a do której nie miałem bez zgody ojca dostępu. W chacie naszej dorastały dziewczęta. Ojciec jako sołtys miał zawsze interesantów i był taki zwyczaj - może to z racji tego, że ojciec pełnił tę funkcję społeczną, a może z racji tego, że oboje rodzice umieli czytać i pisać - że była u nas biblioteczka, zbierano się

na tak zwane wieczorynki, na prządki, w jesienne i zimowe wieczory. A tam snuto baśnie i baję, opowiadano o wróżkach o czarownikach, o strachach, wspomniano wojnę i udział w wojnie japońskiej, tureckiej, przeżycia z czasów wielkiej wojny światowej. Byli tacy jak pan Mech czy pan Łobocki, którzy wyemigrowali do Brazylii, gdzie pochowali dzieci i za resztki środków zdołali wrócić do kraju, by odbudowywać swoje gospodarstwa od nowa w rodzinnej wsi. Był taki Jan Florek, który służył w 44 Pułku Piechoty Syberyjskiej w Tomsku, który uciekł z obozu jenieckiego w Magdeburgu. I ten niepiśmienny chłop potrafił przejść z Magdeburga do rodzinnej wsi, ująć pogoni i opowiadał ciekawie jękając się o tych przeżyciach. I w czasie tych prządek, mój ojciec z drugiej strony izby majsterkował przy tak zwanej kobyłce. Był to taki prymitywny warsztat, przy pomocy którego, przyciskając specjalnym pedałem, obrabiano drzewo w uchwycie. Uśnikiem, siekierą, heblem można było przygotowywać zapasowe urządzenia do wozu, do narzędzi rolniczych na okres lata. Albo siadał przy stole i czytał – czytał prasę bieżącą, albo coś, co było w tej skromnej bibliotece – ilustrowane dzieje polski, różnego rodzaju opowiadania, a kobiety chętnie go słuchały.

A ponieważ w domu naszym były podrastające dziewczyny – moje siostry - to młodzieży męskiej też się zbierało sporo i choć izba była ciasna, to zawsze gwarna i pełna ludzi. Dom nie był bogaty, ale w miarę zasobny. Ojciec szykował się do odbudowy gospodarstwa, zabudowania były jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, dla tego celu pielęgnował las, który miał po kilkadziesiąt sosen, kilkadziesiąt dębów i marzył o tym żeby odbudować zabudowania. W latach 1927-29 gospodarka polska rozwijała się bardzo dobrze, odczuwano prosperitę. Zdawało się, że wszystko idzie w naszej chacie ku lepszemu. Ojciec planował odbudowę domu, stodoły i obory, zamówił nowy wóz, nowe sanie, szykując się do transportu budulca, gdy najniespodziewaniej nastąpiła katastrofa.

W 1930 roku w listopadzie ojciec po przeziębieniu się zachorował - podejrzewano, że grypa. Lekarza w pobliżu nie było, był znachor we wsi Truścianka – Pauk. Był drugi znachor – zielarz – zakonnik – Teodor Zosiuk zwany braciszkiem Antonim, w parowie pod Rozięcim, w tak zwanej Lisiej Debrze, więc pierwsze pojechano po poradę do nich – ani jeden, ani drugi tymi ziołami, ani zamawianiami niczego nie polepszyli, więc zdecydowali się rodzice pojechać do Chełma. A zaczęła się bardzo ostra zima, paskudna, z mrozami. No i lekarz w Chełmie orzekł, że sprawa jest poważna, że to jest gruźlica. Ojciec nie dawał temu wiary, gdy w dalszym ciągu czuł się gorzej, to wyruszył w drugim kierunku – do Hrubieszowa, do lekarza, który był uznawany za znawcę. Ale te rozjazdy wszystkie potrzebowały pieniędzy – kosztowało, no i trzeba było spieniężać to, co było przygotowane na przetrwanie zimy, na finansowanie budowy, no i sięgnięto po kupców, a najbliższymi kupcami to byli Żydzi. No i przyjechał taki zaprzyjaźniony Żyd, nazywano go Major Suchy, on miał właściwe imię Mejer, ale spolszczano na Major. No i ojciec mu proponuje zakup pszenicy, jęczmienia, a on ojcu podaje śmieszoną cenę – dwukrotnie mniejszą od tej, jaka była oferowana tuż po zbiorach. Co się stało? Dlaczego? Co, Żyd chce wykorzystać nieszczęście chłopów? A Żyd mówi "Ja pana? A przepraszam, panie Franciszku, ale pan wie, co się stało? Cały świat dotknął wielki kryzys ekonomiczny, wszystkie płody rolne w cenie swojej poleciały na łeb, jest ogólny krach ekonomiczny i pan nigdzie większej ceny nie dostanie. Może pan jechać do Chełma, ale tam może pan dostanie złotówkę więcej, ale ile pan straci czasu, energii, koni, trudu".

No i w przymusowej sytuacji ojciec sprzedał to, co było do sprzedania, no i pojechał do Hrubieszowa. Hrubieszów – lekarz potwierdza diagnozę. Wizyta u lekarza kosztuje 50 złotych, leki w aptece – drugie 50 złotych, a metr żyta – 8 złotych, metr pszenicy – 13 złotych... Klacz, która była warta 600 złotych – handlarze dają 150 złotych... Rodzice zostali zmuszeni do

zaciągnięcia długów u Żydów. Żydzi skwapliwie na weksel pożyczali, ale to nie rozwiązywało problemu, a choroba robiła straszliwy postęp, więc zdecydowali się rodzice jechać do Lwowa, do znanego lekarza. Więc końmi do Zamościa, a stamtąd - do Lwowa. Po trzech dniach wrócili ze Lwowa. Po powrocie ze Lwowa stan ojca naszego pogarszał się. Powiedziano, że w Lublinie jest specjalista od chorób płucnych – pan doktor Voigt. Zdecydowano się jeszcze jechać do Lublina. Już nie było co jeszcze sprzedać, a nie zdecydowano się pożyczać. Pozostało jeszcze jedno bardzo cenne – a mianowicie las. Las, za który ojcu w 1928 roku dawano trzy i pół tysiąca złotych. Żydzi tyle dawali, gdy rąbali sąsiednie lasy majątku Wojstawice. Gdy poprzez specjalnego zawiadomiono kupców i przyszedł kupiec, który przed trzema laty handlował ten las i usiadł na taborecie przy łóżku, na którym leżał ojciec, ojciec mówi: "No to proszę pana – panie Berger, chciałbym sprzedać las." "Nu, ja kupię." "Ile pan da?" "Pięćset złotych." "Panie Berger, przecież pan trzy lata temu dawał za ten las trzy tysiące!!!" "To było trzy lata temu. Nie dlatego, że pan chory, ale tyle on teraz jest wart." Ja wtedy po raz drugi widziałem, jak mój ojciec płacze. Byłem małym chłopcem. Widziałem spływające zły po twarzy ojca i kupca wyliczającego na rękę ojca banknoty.

Na trzeci dzień pojechali mama z ojcem do Chełma, wiózł ich mój szwagier, zięć rodziców, brat mojej siostry. W Zajeździe Kupersztoka przy ulicy Lubelskiej zatrzymała się furmanka, a rodzice wysiedli – do pociągu, przyjechali do Lublina, do tego pana Voigta. On przyjmował przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Ponieważ oni przyjechali z prowincji, nie zamówili wizyty, nie byli zapowiedziani u lekarza, więc musieli czekać całe popołudnie, aż wszyscy pacjenci byli przyjęci. Gdy przyszła kolej na moich rodziców – zapadał zmrok. I weszła matka do gabinetu lekarza z ojcem, spojrzął na ojca i tak w sposób ordynarny: "Pocoś go przywiozła? On ci w drodze umrze." Kazał się rozebrać, opukał, dokładnie osłuchał i powiedział, tak bez ogródek, szorstko: "To jest tak zwana prusówka – czyli galopująca gruźlica, płuca w rozkładzie, dni są policzone." W brutalny sposób temu człowiekowi, który miał czterdzieści jeden lat wyczytywał wyrok śmierci. Rodzice się zabrali od tego lekarza, z trudem mama złapała dorożkę, przyjechali na stację, wsiedli do pociągu relacji Warszawa – Kowel, w stronę Chełma i wtedy ojciec powiedział: "Józia - tak mama miała na imię - ja ciebie bardzo przepraszam. Ja nie uwierzyłem temu pierwszemu lekarzowi w Chełmie i umieram, ale zabieram ze sobą wszystko, cośmy posiadali i wszystko, czegośmy się dopracowali. I zostajesz z czworgiem dzieci - moje starsze siostry już były zamężne – w skrajnej biedzie na resztach tego, co pozostało."

No i wrócili do domu. To był luty, koniec lutego i jakiś tydzień po powrocie ojciec się źle poczuł, jeszcze gorzej, więc leki, to nie pomagało i gdzieś w przeddzień imienin mamy, które wypadają 19 marca, ojciec dostał krwotoku. Przywieźli lekarza, który już się wtedy zainstalował w Uchaniach. Lekarz dał leki na wstrzymanie krwotoku i zażądał 50 złotych za wizytę. A w tym samym czasie z obory wyprowadzano młodą, trzyletnią krowę, za którą Żyd zapłacił 51 złotych. Ojciec zmarł 20 marca 1931 roku. W dzień po imieninach mamy, a w przeddzień moich urodzin. Zostaliśmy sami. Ojca pochowano – dramat przy samym pogrzebie. Ojciec, który był przez lata całe w radzie parafialnej, ojciec, którego piękne konie i piękny zaprzęg były używane do przewożenia księdza proboszcza w czasie nabożeństw wiejskich, w czasie różnych okazji, gdy mama poszła do księdza proboszcza - Włodzimierza Grzędzińskiego - omawiać sprawę pogrzebu, powiedział taką sumę, że matka ręce załamała i mówi: "Ależ księżu proboszczu, ksiądz wie, jaka jest sytuacja? W jakiej tragicznej sytuacji my jesteśmy." "A krowę masz?" "Mam jeszcze jedną krowę." "To sprzedaj." Z tym mama wróciła do domu.

Odbył się skromny pogrzeb ojca i zostaliśmy sami – dwie siostry, jedna lat 18, druga lat 16, ja – lat 8 i siostrzyczka najmłodsza – lat 3. Zostało nam po sprzedaniu pięknych dwóch klaczy i

dwóch źrebaków od nich i podchowanego, młodego ogiera – dwulatka, została para takich rachitycznych koni kupionych na targu. Mama z siostrami i my dwoje na tych resztach gospodarki, no i zaczęło się borykanie z losem. Obie siostry ciężko pracowały – za parobków i za rolników. Siostra Gienia doskonale sobie radziła z końmi, zresztą ją ojciec do tego przyuczał, ona konie lubiła, jeździła jak ułan na koniach, umiała w polu robić. I przyszły żniwa. Bóg dał, że plony były obfite. Zboże sypało wspaniale i tak jak rok przedtem na podwórzu moich ojców pracowała nowoczesna maszyna omłotowa, spalinowa, tak w rok później - zwykła kieratówka, trybówka, cały dzień młóciła pszenicę, dorodną pszenicę. Pracowali wszyscy dorośli przy tej pszenicy, przy tych omłotach, a ja już byłem na tyle dorosły, że popędzałem jedną z par koni – te nasze dwa konie, bo druga para koni była wypożyczona. Pracowano cały dzień i byli wszyscy tak strasznie zmordowani, że mama zdecydowała, że już nie będą oprzątały tego zboża z toku w stodole, tylko zostawią do rana, a rano będą poprzez wialnię – młynek – oczyszczali i znosili to zboże do spichlerza i do sąsiedków w komorze. I pokładliśmy się wszyscy strasznie zmęczeni i świtanem mama wstała, myśmy jeszcze spali i rankiem do naszych uszu dotarł straszliwy lament matki. Zerwaliśmy się wszyscy na nogi, biegniemy do stodoły, a w stodole nie ma już ani ziarna zboża – chyba to co się zachowało po kątach niewymieciono. W ciągu nocy złodzieje wynieśli wszystką omłoczoną pszenicę. A wierzyciele czekali, żyć trzeba przecież było. Siostra Gienia pobiegła na posterunek policji granatowej, po dwóch godzinach przyjechało dwóch posterunkowych na rowerach, obejrzeni ślady za stodołą. "Ma pani na kogoś podejrzenie?" Matka miała, ale podejrzewać to mało, trzeba mieć pewność, a ten który ukradł, był człowiekiem bez czci i wiary. Zresztą jak udowodnić? Ona mówi: "Nie mam." "No cóż, proszę panią – psa nie mamy, sami nie potrafimy." Zrobili protokół, odjechali.

Jakoś przetrwaliśmy ten pierwszy rok. Na drugi rok w karnawale Gienia – siostra – wyszła za mąż, było dwóch kontrahentów do ręki moich sióstr, ale młodsza – siedemnastoletnia siostra Władzia - nie chciała przyjąć oświadczyń człowieka, który był o 9 lat od niej starszy i wzbraniała się. Mama liczyła na to, że odbędą się dwa wesela jednym kosztem. Gdy wyszła Gienia za mąż, Władzia została sama i gdy się przymierzyła do obowiązków gospodarskich, do tego wszystkiego co jest, zdecydowała się przyjąć oświadczyń tego człowieka i wyszła w jesieni później za mąż i zostaliśmy sami z mamą – to znaczy – ja – dziesięciolatek - i ta czteroletnia siostrzyczka. No i zaraz po wyjściu ostatniej siostry dorosłej za mąż nastąpił podział schedy po ojcu, a więc podział ziemi. Z tym, że wszystkie moje siostry, które wychodziły za mąż i te za życia ojca, ojciec chciał pokazać, że to są córki gospodarskie, więc je odpowiednio wianował – wyposażał, no młodsze – nie chciały być gorsze – mama robiła wszystko, zaciągając jeszcze dodatkowe pożyczki, żeby siostry dostały przynajmniej wiano, które by mogło być akceptowane przez te rodziny, do których szły jako synowe. No i nastąpił podział majątku – ziemi. Jak on wyglądał, to rzecz nie do opowiadania, bo ocieka to złą i krzywdą najmłodszych, nie będę o tym mówił, zostaliśmy w tej pustej chacie. W wianie było naszym siedem kur i czarna kotka, pusta obora, stodoła i ogrody leżące po jednej i po drugiej stronie wiejskiej ulicy i wdowa z dwojgiem dzieci. Było nam bardzo ciężko. Ciężko, że nie jestem w stanie tego opowiedzieć, wyłożyć. Wieś była w swej masie obojętna, przestaliśmy istnieć dla sąsiadów, dla przyjaciół do niedawna ojca, nie liczyliśmy się już we wsi, bo ekonomicznie zeszliliśmy do krawędzi egzystencji. Rezultat taki, że przez pięć lat nie mieliśmy mleka, nie mieliśmy krowy.

Data i miejsce nagrania	2004-09-23, Wojśławice
Rozmawiał/a	Emil Majuk
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

